Zarządzanie Publiczne
Nr 4(14)/2010
ISSN 1898-3529

Marek Belka

Globalny kryzys finansowy a gospodarka krajów Unii Europejskiej[1]

Marek Belka: Dzień dobry państwu. Panie rektorze, panie profesorze, jest mi miło wystąpić w tak wypełnionej sali, to dzisiaj rzadkość. Doceniam, że państwo zdecydowali się spędzić te dwie godziny z nami.

To, co powiem, nie będzie się odnosiło bezpośrednio do polskiej gospodarki. Nie będę mówił o sytuacji gospodarczej Polski, o budżecie państwa, o polityce pieniężnej, ale o tym, co pośrednio decyduje o okolicznościach, w jakich funkcjonuje polska gospodarka i w jakich podejmowane są najważniejsze decyzje gospodarcze. Ubolewam nad tym, że dyskusje nad polską gospodarką odbywają się często w oderwaniu od szerszego kontekstu, zarówno globalnego, jak i europejskiego.

Po pierwsze, kryzys, który rozpoczął się w 2007 r., nie powstał w Europie. Niemniej jednak to gospodarka europejska została przez ten kryzys najostrzej ugodzona. Dlaczego? Tutaj chciałbym szerzej poruszyć dwie sprawy. Ten kryzys rozpoczął się między Wall Street a City of London. Jego źródłem były turbulencje na rynku finansowym. Nie pierwszy raz w historii świata poważny kryzys powstał w sferze finansów. Ale tym razem nałożyło się na siebie kilka czynników, które sprawiły, że ten kryzys jest globalny, uderzył w gospodarkę światową bardzo mocno i grozi załamaniem bez precedensu w historii. Różni komentatorzy w odmienny sposób interpretują jego główne przyczyny. Jedni mówią o tym, że źródeł kryzysu trzeba szukać w globalnych nierównowagach gospodarki światowej. Ich zdaniem nie może być tak, że Amerykanie, będąc motorem rozwoju gospodarczego świata, jedynie konsumują, ale nie pamiętają o oszczędzaniu. Chińczycy zaś są producentem dóbr. My Europejczycy – szczególnie Niemcy – znajdujemy się na skrzyżowaniu głównych arterii gospodarki światowej. Niemcy, bardzo upraszczając, zajmują się produkcją dóbr inwestycyjnych, które eksportują do Chin. Chińczycy produkują tanie dobra dla Amerykanów. Dzięki temu Amerykanie nie podwyższają płac zdecydowanej większości pracowników, a ci wciąż mogą wiele konsumować. W efekcie w Stanach Zjednoczonych narasta deficyt handlowy na rachunku bieżącym, a po drugiej stronie, w Chinach, pojawiła się olbrzymia nadwyżka. To pierwsze źródło kryzysu, pomijane przez wielu komentatorów.

Inni oponują, mówiąc: „W porządku, to jest rzeczywiście na dłuższą metę nie do utrzymania, ale gdyby rynek finansowy działał w sposób efektywny, a więc dokonałby skutecznego transferu kapitału, nic złego by się nie stało". Podstawową funkcją systemu finansowego na świecie (przede wszystkim banków) jest pośrednictwo finansowe, a więc transferowanie kapitału od tych, którzy mają go w nadmiarze, do tych, którzy go potrzebują. Tutaj system bankowy czy system finansowy zawiódł w różnych wymiarach (na ten temat będę jeszcze mówił w kontekście europejskim). To właśnie uznano za drugą ważną przyczynę kryzysu.

Wreszcie niektórzy mówią: „To nie jest tak. To zaczęło się w gospodarce Stanów Zjednoczonych, na rynku kredytów hipotecznych, tam zapanowało szaleństwo". Popełniono wiele różnych błędów, m.in. w ostatnich latach Rezerwa Federalna utrzymywała stopy procentowe na bardzo niskim poziomie mimo szybkiego tempa wzrostu gospodarczego. To, jak wskazują niektórzy, sprzyjało tworzeniu baniek spekulacyjnych w różnego rodzaju aktywach, przede wszystkim na rynku nieruchomości. Narosły więc olbrzymie bańki spekulacyjne, któ-

[1] Debata miała miejsce podczas sesji specjalnej w ramach seminarium „Dobre rządzenie", która odbyła się na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie 2 grudnia 2010 r.

re potem gwałtownie pękły, a gospodarka światowa znalazła się na skraju przepaści.

Dodatkowym czynnikiem jest technologia: informacja *online* decyduje o działaniach na rynkach kapitałowych. Dzisiaj więc dostosowania na rynku finansowym następują natychmiast i nigdy żadna decyzja polityczna ani tym bardziej procesy gospodarcze nie mogą nadążyć za działaniami na rynkach kapitałowych. Wszystko to sprawiło, że gospodarka światowa stała się bardzo zintegrowana, bardzo zależna od nastrojów i podatna na kumulatywne zmiany.

Kiedy nie zdołano uratować amerykańskiego banku inwestycyjnego Lehman Brothers[2], powstała panika bankowa. Banki wzajemnie przestały sobie pożyczać pieniądze. Uznały, że zbyt ryzykowne jest kontaktowanie się z innymi i jedynym pewnym partnerem stały się rządy i banki centralne.

Przed kompletną katastrofą ekonomiczną uratowały nas działania przywódców krajów G20. Moim zdaniem była to przede wszystkim polityczna deklaracja tychże przywódców, że żadna duża, systemowo ważna instytucja finansowa nie upadnie. Kilka dni później, kiedy w podobnej sytuacji jak Lehman Brothers znalazł się wielki ubezpieczyciel AIG, to bez żadnych oporów wpompowano w niego około 100 mld dolarów. Czyli dotrzymano słowa, nie pozwolono, żeby organizacja, która była o wiele mocniej zintegrowana z innymi niż Lehman Brothers, upadła.

Ta deklaracja oznaczała jednak zawieszenie podstawowych zasad funkcjonowania gospodarki rynkowej. Bo jeżeli się ogłasza, że żadna systemowo ważna instytucja finansowa nie upadnie, to znaczy, że piekła nie ma: „możecie robić co chcecie, i tak nie pozwolimy wam zbankrutować". Innymi słowy: podatnik za was zapłaci. Dzisiaj płacimy za tę, niezbędną być może, ale bardzo kosztowną deklarację.

Dlaczego w Europie kryzys odbił się najostrzej? W pierwszej chwili sądzono, że regionem najbardziej podatnym na kryzys jest nasz region: Europa Środkowa i Wschodnia. Z jakiego powodu? Dlatego, że był to i dalej jest jedyny region świata (poza światem wysoko rozwiniętym), który importuje kapitał. Zgodnie z teorią ekonomii kapitał przepływa – jeżeli panuje swoboda przepływu kapitału – z miejsc, w których może przynieść mniejszą stopę zwrotu, tam, gdzie jest wyższa stopa zwrotu. Zasadniczo w krajach słabiej rozwiniętych, gdzie występuje proces doganiania, czyli konwergencji, stopy zwrotu są wyższe. Rzeczywiście w przypadku naszego regionu kapitał płynął tu szerokim strumieniem z krajów wyżej rozwiniętych, sprzyjając rozwojowi gospodarczemu. A jeżeli sądzicie państwo, że tak było w innych częściach gospodarki światowej, to się mylicie. Azja – przecież słabiej rozwinięta od krajów czołówki światowej: Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej – była wielkim eksporterem kapitału. Ameryka Łacińska okazała się także eksporterem kapitału netto. Nawet Afryka, w ostatniej dekadzie, była eksporterem kapitału netto. Tylko tutaj byliśmy odbiorcami kapitału. Wiele krajów naszego regionu zaczęło być importerami kapitału w ilościach przekraczających możliwości jego zdrowej absorpcji. Szczególnie dotyczy to małych krajów, w których funkcjonował system sztywnego kursu waluty – kraje bałtyckie, Bułgaria, ale także Rumunia i Węgry, choć te ostatnie miały płynny kurs walutowy. Do tych krajów kapitał napływał i wzmagał konsumpcję; charakterystyczne, że lokowany był w znaczącej mierze w tzw. *non-tradeable sectors*, czyli sektorach gospodarki, które nie wytwarzały produktów eksportowalnych. Na przykład większość wzrostu gospodarczego w Bułgarii w ostatniej dekadzie brała się z dwóch sektorów: usług finansowych i nieruchomości.

Kiedy kryzys się zaczął, rynek międzybankowy zamarł. Nikt nikomu nie wierzył, więc amerykańscy komentatorzy wywnioskowali, że kapitał przestanie płynąć także do naszego regionu. Co więcej, nie tylko przestanie płynąć, ale zacznie być w panice wycofywany. Wskazywano na to, że ponieważ większość sektora bankowego w tych krajach była i jest zdominowana przez banki Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, to wysysanie kapitału będzie bardzo łatwe i szybkie. I konieczne, bo banki matki będą tego ka-

[2] Lehman Brothers ogłosił swoje bankructwo 15 września 2008 r. Wywołało to panikę na rynkach światowych. Bankructwo to uznane zostało za początek światowego kryzysu finansowego. Upadek Lehman Brothers i obawa przed upadkiem kolejnych wielkich banków skłoniły rząd amerykański do przygotowania bezprecedensowego programu wsparcia dla sektora finansowego wartego 700 mld dolarów (tzw. planu Paulsona).

pitału potrzebowały. Spodziewano się więc, że nasz region może stać się „czarną dziurą", stanowiącą zagrożenie dla krajów Europy Zachodniej utrzymujących szczególnie bliskie stosunki z krajami naszego regionu – Austrii, Holandii, Belgii, Włoch, do pewnego stopnia Niemiec. To te kraje miały być narażone na największe ryzyka, związane z olbrzymim kryzysem, jakiego się spodziewano w krajach naszego regionu.

Rzeczywiście kryzys wybuchł w kilku z nich. W tych, które okazały się mocniej zadłużone i bardzo wrażliwe nawet nie na ucieczkę kapitału, ale na zwolnienie i zastopowanie transferu kapitału. Technicznie odbywa się to w prosty sposób: któregoś tygodnia minister finansów danego kraju ogłasza cotygodniową aukcję obligacji i bonów skarbowych, ale nie ma na nie popytu. Trzeba wówczas prosić o pomoc albo ogłosić bankructwo. Węgry, Rumunia, Łotwa, Serbia, Ukraina, trochę inny przypadek – Mołdawia, poprosiły o pomoc Międzynarodowy Fundusz Walutowy. I taką pomoc otrzymały.

Często nasz tok rozumowania jest taki: narażone na problemy związane z refinansowaniem długu są kraje, które mają olbrzymi dług publiczny, w których finanse państwa były w stanie braku dyscypliny. Ale nie jest tak zawsze. Rzeczywiście tak było na Węgrzech, do pewnego stopnia w Rumunii, ale już nie na Łotwie ani na Ukrainie. Dług publiczny był niewielki, dług prywatny – olbrzymi. Na marginesie: jedną z lekcji z obecnego kryzysu jest to, że musimy patrzeć na ogólne zadłużenie danego kraju – publiczne i prywatne. W istocie nie ma żadnej gwarancji, że jeśli w danym kraju są zdrowe finanse publiczne i niezdrowe finanse prywatne, to nie będzie on podatny na kryzysy. Estonia, Łotwa, Litwa to trzy kraje, które właściwie nie miały długu publicznego.

Niemniej jednak kryzys w naszej części Europy nie okazał się tak głęboki, jak się spodziewano. Po pierwsze, w żadnym z tych krajów nie doszło do kryzysu walutowego, do upadku waluty, do jakiejś gwałtownej deprecjacji. W żadnym z tych krajów banki zagraniczne nie uznały, że nadszedł czas, żeby się wycofać. Nawet na Ukrainie, gdzie nastąpił kryzys bankowy, żaden zagraniczny bank się nie wycofał. Co więcej, kapitał nadal napływał, a niektóre, najlepiej zarządzane kraje, takie jak Czechy i Polska, są wręcz znaczącymi odbiorcami kapitału. Można więc powiedzieć, że nie sprawdziły się czarne scenariusze. Rzeczywiście kryzys nastąpił, ale w krajach naszego regionu zarówno rządy, jak i społeczeństwa są na tyle sprawne, aby doprowadzić do potrzebnej konsolidacji finansów publicznych. Na Łotwie, która wydawała się przypadkiem beznadziejnym, w ciągu jednego roku obniżono konsumpcję prywatną o 40%! Oczywiście to spowodowało pogłębienie kryzysu gospodarczego, ale sytuacja się ustabilizowała i Łotwa powoli zaczyna rosnąć. I tak jest w Estonii, na Litwie, tak dzieje się z pewnym opóźnieniem i problemami na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii itd. Okazało się, że był to poważny kryzys, ale udało się go – zarówno siłami krajowymi, jak i międzynarodowymi – opanować.

Teraz przejdę do trzeciej części mojej wypowiedzi – o Europie Zachodniej. W niektórych krajach Europy Zachodniej wystąpiły potężne turbulencje gospodarcze. W Irlandii sami Irlandczycy gorzko żartowali, że różnią się od Islandii tylko jedną literą i sześcioma miesiącami – kryzys rozpoczął się u nich sześć miesięcy później. System bankowy Irlandii był za duży w stosunku do jej gospodarki. Wiązało się to z boomem inwestycyjnym, szczególnie w inwestycjach mieszkaniowych – skończył się on w momencie, kiedy nastąpił kryzys. Ale w ciągu 20 lat Irlandia z kraju biednego stała się jednym z najbogatszych krajów Unii Europejskiej. W Hiszpanii także miał miejsce wybujały wzrost inwestycji w budownictwo mieszkaniowe. Kiedy rozpoczął się kryzys, ceny nieruchomości spadły. Zaangażowani w rynek mieszkaniowy stracili olbrzymie pieniądze, bankrutowali, co przyniosło z sobą falę zwolnień z pracy. Grecja – dzisiaj symbol nieroztropności budżetowej – przez kilkadziesiąt lat bez poczucia odpowiedzialności zwiększała dług publiczny. To są przypadki szczególne. To nie wyjaśnia obecnych trudności w Unii Europejskiej, a szczególnie w strefie euro.

Czy coś wiąże więc tę szczególną podatność na kryzysy z faktem istnienia euro? Teraz pewnie myślicie państwo, że skrytykuję euro. Wręcz przeciwnie: jestem zwolennikiem euro, jestem zwolennikiem przystąpienia Polski do strefy euro. Fakty są następujące. Jakie były korzyści z wprowadzenia euro? Przede wszystkim euro miało stworzyć i stworzyło wspólny rynek fi-

nansowy. To pozwoliło na olbrzymią ekspansję europejskich korporacji i przedsiębiorstw na całym świecie. To sprzyjało intensyfikacji wymiany handlowej w ramach strefy euro. Ci, którzy byli zwolennikami przyjęcia euro od samego początku, sądzili, że wprowadzenie wspólnej waluty stanie się bodźcem dla wdrożenia pozytywnych reform strukturalnych. Kraj wstępujący do strefy euro nie tylko był zmuszony do uporządkowania swoich finansów publicznych zgodnie z kryteriami z Maastricht. Wejście do wspólnej strefy walutowej oznacza bowiem utratę suwerenności w obszarze polityki pieniężnej, a więc brak możliwości dewaluowania waluty, kiedy będzie to wskazane. Sądzono więc, że kraje będą musiały reformować rynki pracy, będą musiały być bardziej roztropne, jeśli chodzi o wydatki budżetowe. Mówiąc krótko, będą musiały nadrabiać brak własnej polityki pieniężnej innymi politykami gospodarczymi. Nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie, euro zadziałało jak usypiacz, jak środek przeciwbólowy. Gdyby kraj z własną walutą prowadził własną nieodpowiedzialną politykę budżetową, to natychmiast odbiłoby się to na kursie jego waluty. W poważniejszych przypadkach mogłoby to doprowadzić do kryzysu danej waluty. Ale nie w strefie euro – euro stanowiło bufor ochronny. Gdyby Grecy mieli drachmę, to ta drachma by się zdewaluowała, a więc pojawiłyby się naciski na ministra finansów i rząd, że należy „coś zrobić"… Jednak Grecy mają euro. Paradoksalnie więc euro w pierwszej fazie kryzysu chroniło kraje strefy euro przed kryzysem, a w poprzedniej dekadzie „obroniło"je przed koniecznością wprowadzenia właściwych zmian strukturalnych w gospodarce.

W samym kryzysie wspólna waluta okazała się najpierw wielkim dobrodziejstwem. Wydawało się, że kraje, które mogłyby mieć problemy z obsługą finansową swoich potrzeb pożyczkowych, będą wolne od tych kłopotów. Przecież istniał wspólny bank centralny, który dostarczał olbrzymich ilości płynności, olbrzymich środków finansowych na rynek. A rynki, nieefektywne, jak się okazało (to jest następna lekcja z tego kryzysu), nie odróżniały ryzyka greckiego, portugalskiego, irlandzkiego od ryzyka francuskiego, fińskiego czy niemieckiego. I kazały sobie płacić bardzo podobne ceny w formie oprocentowania od emitowanego przez te kraje długu, czyli obligacji państwowych. Do czasu. W pewnym momencie bańka pękła. Zaczęło się to w Grecji z powodu pozornie nieistotnej rzeczy. Wyszło na jaw, że od wielu lat Grecy niezbyt precyzyjnie opracowywali, zbierali i przedstawiali statystyki. Nagle analitycy na rynkach finansowych złapali się za głowę: „Zostaliśmy oszukani". Grecy stracili dostęp do rynku finansowego, a jeżeli nawet go mają, to po takich kosztach, że dalsza obsługa długu publicznego w Grecji stała się niemożliwa. I okazuje się, że jeden kraj po drugim wpada, z różnych powodów, w tę samą pułapkę. Jak do tego doszło? Euro stało się problemem. Nie dlatego, że jest czymś złym. Projekt wspólnej waluty okazał się niedokończony. Wspólna waluta jest, jak skłonni bylibyśmy przypuszczać, atrybutem kraju federacyjnego takiego jak USA. Są różne argumenty, które można przytoczyć za wspólną walutą lub przeciw niej, ale kryzys nas nauczył, że aby kraje w ramach Unii Europejskiej dobrze funkcjonowały z jedną walutą, muszą spełnić pewne warunki.

Po pierwsze, albo scentralizowana polityka budżetowa, albo wspólny budżet. Po co? Proszę państwa, jeśli się emituje w jednej walucie obligacje, czyli dług, to ktoś musi gwarantować spłatę tego długu, prawda? Kto gwarantuje spłatę tego długu w Stanach Zjednoczonych? Teoretycznie rzecz biorąc, amerykański podatnik. A kto gwarantuje spłatę instrumentów dłużnych emitowanych w euro? Czy istnieje podatnik europejski? Nie ma podatnika europejskiego. Jest podatnik niemiecki, grecki, portugalski itd. Podobnie jak nie ma jednego podatnika europejskiego, tak nie ma jednego budżetu. To, co dzisiaj znamy jako budżet europejski, jako budżet solidarności, to nie jest tego typu budżet. To jest jedna czterdziesta tego, co byłoby potrzebne, gdybyśmy mieli mieć w strefie euro wspólny budżet. Po co ten budżet? Aby mieć pieniądze na transfery. Jeśli Nebraska się gorzej rozwija od Massachusetts albo Nowy Jork od Atlanty, to wcześniej czy później w amerykańskim systemie budżetowym uruchamiane są mechanizmy, które wyrównują te nierównowagi. Dlaczego natomiast podatnik niemiecki ma płacić za podatnika greckiego albo irlandzkiego? Tym się różnią Stany Zjednoczone i ich wspólna waluta od nie-państwa Unii Europejskiej, która też ma wspólną walutę. Jeżeli nie mamy wspólnego budże-

tu, co robimy? Szukamy protezy. Taką protezą jest układ z Maastricht, który stanowi w istocie umowę dżentelmeńską, w której się wszyscy zobowiązują, że będą się zachowywać poprawnie. Czyli będą prowadzić odpowiedzialną politykę budżetową, nie narażając tym samym innego kraju na konieczność wyprowadzania ich z kłopotów. Debatuje się w Unii Europejskiej, jak tę umowę dżentelmeńską zaostrzyć, wprowadzić sankcje.

Słabością euro jest nie tylko brak odpowiednika budżetowego dla wspólnej waluty, ale także kwestia różnic w rozwoju gospodarczym w ramach euro. Sądziliśmy, a raczej mieliśmy nadzieję, że sprawa wspólnej waluty doprowadzi do przyspieszenia procesu konwergencji. To znaczy, że kraje uboższe będą rosły szybciej i w ten sposób różnice w poziomie rozwoju krajów Unii Europejskiej zanikną albo zaczną się zmniejszać. I rzeczywiście tak było. Hiszpania, Irlandia – to przykłady szybkiego wzrostu. Kraje naszego regionu nie są typowe, bo w większości nie znajdują się w strefie euro, ale ta konwergencja następuje. Niestety okazało się, że możemy mieć także do czynienia z dywergencją. Portugalia nie dość szybko goniła najbardziej rozwiniętą część Europy, a teraz w kryzysie okazało się, że możemy mieć do czynienia z sytuacją, w której kraje wyżej rozwinięte będą rosnąć szybciej niż kraje słabiej rozwinięte. Niemcy rosną szybciej niż południowe Włochy. Tak może być przez wiele lat. Gdyby istniał swobodny przepływ siły roboczej, nie stanowiłoby to problemu. Tylko że swobodny przepływ siły roboczej jest możliwy w Stanach Zjednoczonych, ale nie w Europie. Mimo że przepływy siły roboczej gwałtownie się zwiększyły po wejściu krajów naszego regionu do Unii Europejskiej, było to jednak przemieszczenie jednokierunkowe.

Podsumowując, Unia Europejska czy unia walutowa jest projektem fantastycznym, ambitnym, ale niedokończonym. Ambicje polityczne okazały się większe niż możliwości i chęć dopasowania do nich struktur gospodarczych. I to jest dzisiaj problem, pytanie o przyszłość euro. Nam pozostaje spytać, jak się w związku z tym zachowywać. Ale to zostawię już moim panelistom i państwu. Dziękuję.

Mirosław Gronicki: Dzień dobry państwu, bardzo mi miło gościć tutaj po raz kolejny. Trudno się ustosunkować w sposób jednoznaczny do tego, co powiedział profesor Belka. Wystąpienie było wielowątkowe, więc siłą rzeczy postaram się ustosunkować do wątków, które dotyczą Polski. Pan profesor powiedział, że jesteśmy bardzo polocentryczni, więc ja będę przedstawicielem polocentryzmu, oczywiście biorąc pod uwagę pewne ograniczenia.

Zasadnicza sprawa to kwestia euro i wejścia Polski do strefy euro. Pamiętam, że na początku tej dekady wszyscy byliśmy pod wrażeniem organizacji unii monetarnej i sukcesów krajów, które do tej unii weszły, a szczególnie tych, które w tej chwili najgorzej sobie radzą z kryzysem finansowym: przykładami dla nas były Portugalia i Grecja. Kraje słabo rozwinięte, mające kłopoty z budżetem, kłopoty strukturalne, wchodząc do strefy europejskiej, przejmowały wiarygodność marki niemieckiej. Przejmując tę wiarygodność, dramatycznie obniżały koszty zadłużenia, toteż mogły spokojnie funkcjonować. Kolejna rzecz to praktycznie nieograniczony dostęp do kapitału. Banki tych krajów mogły w ECB, na rynku międzybankowym, pożyczać po przyzwoitej cenie i w ten sposób stymulować popyt krajowy. Wydawało się, że to świetna sytuacja. Dopiero gdy przyszedł kryzys, oczy się otworzyły. Okazało się, że jeżeli nie ma umiejętnego zarządzania sferą publiczną, jeżeli nie ma umiejętnego zarządzania sektorem finansowym, to pojawiają się kłopoty. Jak więc możemy to odnieść do sytuacji polskiej (bo przecież chcemy być trochę polocentryczni)?

Oczywiste jest to, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Polska, powiedzmy w 2007 r., jak wcześniej zakładaliśmy, wstąpiła do ERMII, a następnie w 2009 r. do unii monetarnej. Taki był plan na lata 2007–2009. Po pierwsze, gdyby nie nastał kryzys, mielibyśmy niższe koszty obsługi zadłużenia – super! Po drugie, mielibyśmy dostęp do kapitału – super! Tylko jedna podstawowa sprawa: w latach 2005–2007 koszty ubezpieczenia polskich papierów za granicą były podobne jak koszty ubezpieczenia np. Greków czy Włochów, czyli bardzo niskie. Zatem praktycznie rzecz biorąc, z tego punktu widzenia nie byłoby sensu przyjmowania euro. Zewnętrzna płynność na rynkach finansowych pozwalała się Polsce spokojnie finansować. Napływ kapitału był rzeczywiście potężny. Przyszedł kryzys i oczywiście

wszystko się rozjechało. W pewnym momencie różnica między CDS'ami polskimi a niemieckimi, tymi najbardziej wiarygodnymi, osiągnęła ponad 4 punkty procentowe. Różnica między rentownościami polskich i niemieckich obligacji dziesięcioletnich wynosiła ponad 5,5 punktu procentowego.

Kryzys pokazał, że gdybyśmy byli w unii monetarnej i nie mielibyśmy kłopotów strukturalnych, to moglibyśmy lepiej przetrwać. Ale okazało się, jak powiedział profesor Belka, że kłopoty strukturalne spowodowałyby, że nawet gdybyśmy byli w unii monetarnej, to w podobny sposób odczulibyśmy kryzys fiskalny jak Grecy, Hiszpanie, Irlandczycy i Portugalczycy. Jedynie struktura naszej gospodarki – i tutaj muszę poprzeć stwierdzenie pana profesora – była dobra. Polska i Czechy były krajami, które przeszły przez kryzys najlepiej – Czechy chyba jeszcze lepiej niż Polska. Co się stało? W ubiegłym i – szczególnie – w tym roku potrzeby pożyczkowe polskiego sektora finansów publicznych zostały prawie w całości sfinansowane przez kapitał zagraniczny. Gdyby sytuacja była inna, złoty byłby niesamowicie mocny. Tak się nie stało, ale o tym też za chwilę.

Kryzys spowodował, że potrzeby pożyczkowe sektora prywatnego relatywnie się zmniejszyły i praktycznie mieliśmy do czynienia ze stabilizacją zadłużenia sektora prywatnego względem zagranicy. To też pomogło w pewnej odbudowie wiarygodności. Jednak pojawił się również ciekawy problem w polskim systemie bankowym. O ile w latach 2006–2008 akcja kredytowa polskich banków była finansowana w większości poprzez napływ kapitału zewnętrznego, w mniejszym stopniu poprzez oszczędności krajowe, o tyle w kryzysie to się skończyło; jedyna rzecz, którą zrobiły banki zagraniczne, to zaprzestanie przysyłania nam kapitału. Mamy tu zatem do czynienia z niewielkim odpływem kapitału zagranicznego z sektora bankowego, dodatkowo wzmocnionym przez odpływ pieniędzy, które się pojawiają w elemencie bilansu płatniczego nazywanym „błędy i opuszczenia" (suma rzędu 4% PKB). Można powiedzieć, że z jednej strony dobre postrzeganie Polski, dobre postrzeganie polskiego systemu publicznego było jak gdyby kontrowane przez odpływ pieniędzy z sektora finansowego, odpływ trochę niewidzialny – dlatego polski złoty wygląda jak wygląda. Od pewnego czasu mamy do czynienia ze stabilizacją złotego. Kurs względem euro od połowy 2009 r. plasuje się w przedziale od 3,9 zł do 4,1 zł. Pytanie, czy sytuacja, która może się zdarzyć w najbliższym czasie w krajach unijnych – czyli kolejne kryzysy finansowe, kolejne kryzysy bankowe – w Hiszpanii, Portugalii i Włoszech, nie doprowadzi do tego, że postrzeganie Polski przestanie być tak miłe. Proszę pamiętać o tym, co powiedziałem wcześniej: znakomite sfinansowanie naszych potrzeb pożyczkowych odbyło się kosztem ucieczki kapitału właśnie z tych krajów. Jeżeli Polska nie zacznie poprawiać swojego sektora publicznego, jeśli relatywnie będzie on postrzegany gorzej, sytuacja może się zmienić. Na zakończenie powiem slangiem finansowym: o ile do tej pory inwestycje finansowe w Polsce dawały zwrot kilkunastoprocentowy, wynikający ze wzrostu ceny aktywów i wzrostu wartości polskiej waluty, o tyle w przyszłym roku, jeżeli złoty się nie wzmocni, to – paradoksalnie – nie będziemy mieli tak mocnego napływu kapitału, jak do tej pory, a więc sytuacja może być do pewnego stopnia groźna. Nie chcę tutaj rysować czarnych scenariuszy, ale jest dość spore prawdopodobieństwo, że tak się stanie. Dziękuję.

Jan Czekaj: Dziękuję bardzo, jest to dla mnie zaszczyt występować w tak znakomitym gronie. Odniosę się zarówno do tego, co powiedział pan profesor Belka, jak i do tego, czego nie powiedział. Pan profesor zarysował nam pewien mechanizm powstawania światowego kryzysu, jego rozprzestrzeniania się w gospodarce światowej, także na kraje naszego regionu i na gospodarkę polską. Na szczęście polska gospodarka, jak wiemy, nie została dotknięta kryzysem w takim zakresie, w jakim zostały nim dotknięte inne kraje regionu, co jednak stało się nie bez powodu. Profesor Belka na początku swojego wystąpienia zarysował trzy główne hipotezy, przyczyny wybuchu światowego kryzysu, którego świadkami jesteśmy właściwie do dzisiaj.

Za te przyczyny uznał, po pierwsze, globalną nierównowagę, przede wszystkim na linii Chiny – Stany Zjednoczone; po drugie, pewne niedociągnięcia w funkcjonowaniu światowego systemu finansowego; po trzecie, kryzys *subprime*, kryzys na rynku amerykańskich kredytów hipotecznych. Można to usystematyzować w taki spo-

sób, że nie ulega wątpliwości, iż pierwotną przyczyną tego, co się stało w gospodarce światowej, był rzeczywiście kryzys na rynku kredytów hipotecznych w Stanach Zjednoczonych. Wynika to z wielu względów. Po pierwsze, o czym wspominał pan profesor Belka, z tego, że amerykański bank centralny po 11 września 2001 r. prowadził luźną politykę pieniężną, ponieważ obawiano się recesji w gospodarce amerykańskiej, w związku z czym przez długi czas stopy procentowe były utrzymywane na niezwykle niskim poziomie. Druga przyczyna to zmiany w mechanizmie udzielania kredytów hipotecznych na przełomie ostatniej dekady ubiegłego wieku i pierwszej dekady XXI w. Ten mechanizm został rozregulowany w takim znaczeniu, że banki amerykańskie zaczęły udzielać kredytów tym gospodarstwom domowym, którym ich dotąd nie udzielały, gdyż nie spełniały one warunków zdolności kredytowej. Mechanizm ten miał także różne istotne przyczyny polityczne. W *Erze zawirowań* Greenspana widać, że amerykański bank centralny chciał się przyczynić do urzeczywistnienia *American dream* – hasła prezydenta Busha głoszącego, że każda rodzina powinna mieć własny dom lub mieszkanie (w Stanach Zjednoczonych są to przeważnie domy), co z ekonomicznego punktu widzenia jest nieco bezsensowne, bo pewnej części gospodarstw nie stać na posiadanie własnego domu. Jeżeli jednak udzielamy kredytu na zakup tego domu czy mieszkania, to oczywiście liczymy się z tym, że portfel kredytowy banku się pogorszy – i tak się stało. Tak że główną przyczynę upatruję w rynku kredytu hipotecznego w Stanach Zjednoczonych.

Oczywiście pozostałe elementy, które wymienił profesor Belka, też miały istotne znaczenie z punktu widzenia mechanizmu rozprzestrzeniania się kryzysu w gospodarce światowej. Jeżeli chodzi np. o światowy sektor finansowy, to trzeba powiedzieć, że kupował on papiery wartościowe wyemitowane w oparciu o amerykańskie kredyty hipoteczne, nie zwracając uwagi na ryzyko z tym związane. Cały mechanizm ujawniania ryzyka został tutaj zdeformowany. *Notabene* było to jedną z przyczyn późniejszego kryzysu w Europie Zachodniej. Przede wszystkim dlatego, że banki i cały sektor finansowy poniosły olbrzymie straty, co zmniejszało zdolność kredytową sektora bankowego.

Według ostatnich szacunków Banku Światowego łączne straty sektora finansowego w świecie wynoszą około półtora biliona dolarów, z czego mniej więcej 40% strat poniosły banki amerykańskie, a 40% banki europejskie. Jest więc zrozumiałe, że w tej sytuacji naruszona została baza kapitałowa banków, oczywiście w pierwszej kolejności amerykańskich, ale także europejskich, co z konieczności ograniczyło zasilanie finansowe gospodarki ze strony sektora bankowego. Oczywiście tym trzecim elementem są globalne nierównowagi; gdyby nie nadmiar oszczędności w gospodarce światowej, z jakim mieliśmy do czynienia w poprzedniej dekadzie, to nie byłoby możliwe sfinansowanie nadmiernie rozwiniętego sektora budowlanego w Stanach Zjednoczonych. Głównym dostawcą tych oszczędności były Chiny, ale nie tylko dlatego, że nadwyżki finansowe występowały też w krajach naftowych z tytułu wzrostu ropy naftowej itd. To rzeczywiście przyczyniło się do wybuchu kryzysu, ponieważ te światowe oszczędności zostały zaabsorbowane przez gospodarkę amerykańską. Gdyby ich nie było, to sektor budowlany by się tak nie rozwijał.

Teraz chciałem powiedzieć kilka słów o tym, jak kryzys odbił się na krajach Europy Wschodniej, także na gospodarce polskiej. Oczywiście wspominałem o tym na początku, mówili też o tym moi szanowni przedmówcy: sytuacja poszczególnych krajów była bardzo zróżnicowana. Kraje nadbałtyckie, Rumunia może w mniejszym stopniu, charakteryzowały się potężnymi nierównowagami. Amerykańska nierównowaga to przy tym niewielka sprawa. W krajach nadbałtyckich czy w Bułgarii ujemne saldo na rachunku obrotów bieżących sięgało 30–35% PKB. W niektórych z nich konsumpcja rosła w tempie 30–35% w skali roku. Mimo że gospodarki rozwijały się relatywnie szybko (w tempie 10–12%), ta rosnąca konsumpcja musiała być oczywiście sfinansowana napływem kapitału zagranicznego. W związku z tym, jeśli chodzi o czynniki, które wpływały na sytuację gospodarczą krajów naszego regionu, znaczna ich część znajdowała się także w sektorze bankowym; wydaje mi się jednak, że głównym kanałem, za pośrednictwem którego kryzys dotarł do krajów naszego regionu, w tym także do gospodarki polskiej, był sektor realny gospodarki. Dlaczego? Polskie banki nie zostały, praktycznie rzecz biorąc, do-

tknięte kryzysem, tzn. nie poniosły strat z tytułu posiadania toksycznych aktywów. Oczywiście, mówił to profesor Belka, u nas rynek międzybankowy także się zatkał, powodowało to pewne perturbacje, ale sytuacja naszych banków była odmienna niż amerykańskich czy zachodnioeuropejskich, bo nasz sektor bankowy tych strat nie poniósł, w związku z czym jego baza kapitałowa nie została uszczuplona.

Natomiast według mnie głównym powodem jest sektor realny gospodarki. W 2009 r. światowy PKB skurczył się o 0,9%, a światowy handel – o 12%. Najbardziej tę sytuację odczuwają małe, względnie otwarte gospodarki, które mają wysoki udział eksportu w handlu zagranicznym; to też wpływało na sytuację krajów naszego regionu. Polska jest krajem o mniejszym udziale handlu zagranicznego w PKB niż np. Czechy, Węgry i Słowacja, dlatego kryzys dotknął nas w mniejszym stopniu.

Po drugie, można powiedzieć, że polska gospodarka rozwijała się w tej dekadzie relatywnie szybko. Zresztą jeżeli popatrzymy na cały okres od 1989 r. i porównamy go z danymi dotyczącymi wzrostu krajowego brutto krajów transformujących się, postsocjalistycznych, to PKB Polski uległ do dziś mniej więcej podwojeniu, natomiast druga pod tym względem Słowenia odnotowała 60% wzrostu PKB, czyli w całym tym dwudziestoleciu gospodarka polska rozwijała się najszybciej i, co najważniejsze, była przy tym wzroście w miarę zrównoważona. Nie mieliśmy nadmiernego zadłużenia zagranicznego. Do chwili obecnej także ciężar długu publicznego nie jest tak duży, żebyśmy nie mogli go udźwignąć. Oczywiście w sytuacji zawirowań na świecie sytuacja się komplikuje. Można zwrócić uwagę, że w latach 2008–2009 zgłaszano różne propozycje np. pobudzania gospodarki poprzez zwiększenie deficytu budżetowego, ale trzeba pamiętać o jednej rzeczy. My pod koniec 2008 r. też staliśmy na krawędzi kryzysu walutowego. Złoty zbliżał się do wartości 5 za jedno euro, przekroczenie tej granicy mogłoby spowodować efekt psychologiczny, który groziłby nam kryzysem walutowym.

Reasumując, moim zdaniem czynniki o charakterze finansowym są oczywiście bardzo istotne, ale kryzys do naszej części Europy dotarł głównie przez sferę realną gospodarki. Dziękuję bardzo.

Pytania i wypowiedzi z sali

Igor Styn (Katedra Finansów): Szanowni państwo, z tego, co powiedział pan profesor Belka, wynika, że wszelkie próby naprawy sektora finansowego i zmiany formalnoprawne po Bazylei II nie mają sensu. A to dlatego, że rynki finansowe i prawnicy pracujący dla sektora prędzej czy później wymyślą nowe obejścia obostrzeń proponowanych przez Bazyleę III[3], a większe instytucje finansowe i tak zostaną wyciągnięte z kłopotów finansowych przez podatników, zgodnie z zasadą TBTF (ang. *too big to fail*). W ogóle nie będą więc przestrzegały Bazylei III, z definicji. Bo po co? I tak nic się nie zmieni. To jest pierwsza rzecz.

Druga rzecz: porównując kryzysy z lat 30. i obecne, można zauważyć, że wtedy Fed (Federal Reserve) uczył się, co to jest stopa procentowa, nie było teorii, nie bardzo wiedziano, jak się zachować. Teraz oprogramowanie jest, teorie są, banki posiadają wiedzę i algorytmy kalkulowania ryzyka i obciążenia kapitałowego – wszystko jest. Ale nie zadziałało, więc winien jest czynnik ludzki, a nie brak wiedzy, co znaczy, że kryzysy będą się dalej powtarzały pomimo posiadanej przez bankierów wiedzy i regulacji mających im przeciwdziałać.

Kolejna rzecz: przy takiej, a nie innej polityce pieniężnej w USA Fed niejako wskazuje, że jest bezradny. Nie bardzo wie, w jaki sposób ma tę politykę kontynuować. Dodruk pieniędzy oznacza, moim zdaniem, że Fed uważa, iż dalszy wzrost gospodarki amerykańskiej opiera się na bardzo kruchych podstawach, co jest prawdą, ponieważ nadal istnieje ujemne saldo oszczędności – Amerykanie nie zaczęli oszczędzać. Albo może zaczęli, ale jeszcze tego nie widać. Gdyby zaczęli, drastycznie ograniczyłoby to konsump-

[3] Bazylea III to nowe zasady zarządzania ryzykiem w systemie bankowym, które uzgodnili szefowie banków centralnych i nadzorów finansowych (ogłoszone 26 lipca 2010 r.). Ich wprowadzenie miało służyć poprawie kondycji banków europejskich dzięki zaostrzeniu wymogów związanych z ilością i jakością posiadanego przez nie kapitału.

cję, ale pomału poprawiło zdolność kredytową gospodarstw domowych i pieniądze wpompowane przez Fed w system bankowy USA zaczęłyby powoli być transferowane do gospodarki w postaci kredytów m.in. dla ludności, a nie byłyby inwestowane w inne, bezpieczniejsze aktywa. W efekcie mamy zamknięte koło, przynajmniej w krótkim i średnim okresie. Czyli co dalej, panie profesorze? Czy czeka nas skrócenie cyklu i nowa, tym razem głębsza wersja kryzysu? Dziękuję.

Maria Sierpińska: Nie będę wygłaszać swoich poglądów, bo studenci je w dużym stopniu znają, natomiast chcę zadać pytanie. Panie profesorze, czy przyczyny inflacji w Polsce są takie same jak w Europie? Reagujemy na inflację tak samo, jak reagują inne kraje, a wydaje mi się – i wiele na to wskazuje – że mamy do czynienia z inflacją kosztową. Przyrost cen energii, wysokie stopy procentowe kredytów i pożyczek powiększają koszty przedsiębiorstw, a te (tam, gdzie to jest możliwe) są przenoszone na ceny. Przyrost cen nie wynika z nadmiaru pieniądza na rynku. Kiedyś robiłam takie obliczenia: w przeciętnej hucie europejskiej 3,5% kosztów stanowiły koszty finansowe, a w naszej hucie było to 20%, co oznaczało, że co piątą złotówkę uzyskaną od klienta należało odprowadzić do banku w postaci odsetek. W związku z tym w ogóle nie było możliwości finansowania, możliwości dokończenia rozpoczętych inwestycji. Wydaje mi się, że trzeba by na zjawisko inflacji popatrzeć inaczej. Dlaczego o tym mówię? Niedawno było słychać zapowiedzi, że po nowym roku wzrośnie stopa procentowa, co by oznaczało, że należy wyhamować dopływ pieniądza do gospodarki. Ale równocześnie banki chcą zwiększyć środki na nieruchomości, na inwestycje, aby pobudzić rozwój. Czy nie ma zagrożenia udzielania kredytów w warunkach, kiedy kryzys mamy za plecami, a podmioty i osoby fizyczne tracą zdolność do obsługi tych kredytów?

Kolejna kwestia to wzmocnienie złotego. Czemu ma służyć wzmocnienie złotego? Był taki miesiąc, kiedy euro kosztowało 4,60 zł i wówczas import zrównoważył eksport. W ostatnim miesiącu – tak podała prasa, nie zaglądałam do rocznika statystycznego – import wzrósł o 25%, a eksport o 18%, co prowadzi do dalszego zadłużenia kraju. Czy jest możliwość utrzymania wzrostu gospodarczego tylko i wyłącznie w oparciu o popyt wewnętrzny (tak jak zapowiada minister finansów, że właściwie to eksport nas nie interesuje, bo popyt wewnętrzny jest wysoki)? Czy 11,5-procentowe bezrobocie, walący się system emerytalny, czy one napędzą taki popyt wewnętrzny, żeby utrzymać zapowiadany przez rząd rozwój? Być może? Ja się bardzo cieszę z tego, co pan profesor powiedział na temat wejścia do strefy euro, że jeszcze nie teraz. Jeśli wejdziemy do strefy euro, stracimy ostatnie narzędzia sterowania finansami państwa. Pojawiło się dużo publikacji dotyczących przyczyn kryzysu w Hiszpanii i Irlandii. Jedną z nich było przeinwestowanie w nieruchomościach, kredyty bez zabezpieczeń, nadmierne zadłużenie. Stopa procentowa, średnia dla strefy euro, pasowała do gospodarki niemieckiej, ale kompletnie nie pasowała dla Hiszpanii, Irlandii i Włoch. Z tego powodu, proszę zwrócić uwagę, bardzo tanie kredyty zaciągnięte przez firmy hiszpańskie spowodowały wzrost cen nieruchomości w Polsce. Dlaczego? Bo oni właściwie wykupywali grunty w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i innych miastach za każdą cenę i budowali. Mogli to robić, bo mieli tak duży dopływ kapitału. Ale nas na te nieruchomości nie było stać, bo my nie zarabiamy dużo – zarabiamy cztery razy mniej niż Niemcy, w związku z tym ponad 3 tys. mieszkań w Warszawie jest pustych. Więc ta wspólna waluta i wspólna stopa procentowa pasująca do krajów wysoko rozwiniętych kompletnie nie pasowałaby do gospodarki polskiej. Powinniśmy opóźniać wejście do strefy euro, mimo że obniżyłoby to koszty transakcyjne przedsiębiorstw. Nie oznacza to, że do strefy euro wchodzić nie powinniśmy, ale trzeba dobrze rozważyć kiedy i za jaką stawkę. Jest jeszcze parę dyskusyjnych kwestii, ale nie wypada dłużej mówić, bo pewnie chętnych jest bardzo dużo. Dziękuję.

Aleksandra Lityńska: Ja chciałam wspomnieć o braku komisji nadzoru bankowego, która na pewno stanowi ważny element przy ocenie źródeł kryzysu. Nie tylko oczywiście u nas w kraju. Brak właściwego nadzoru spowodował rozbieżność pomiędzy wirtualną a realną rzeczywistością, rozwój procesu sekurytyzacji, nieprzestrzeganie zasad etyki biznesu, a więc działalność oszustów finansowych. Na przykład weźmy jednego z największych oszustów w Stanach

Zjednoczonych i w ogóle na świecie: Madoffa. On zdefraudował tylko 65 mld dolarów. Kolejny ważny problem to problem naszych krajowych oszczędności budżetowych. Tutaj jest podnoszony projekt wstrzymania przekazywania pieniędzy do otwartych funduszy emerytalnych. Jak ocenia ten projekt Rada Komisji Europejskiej? Ostrzega, że statystyczne korzyści będą krótkotrwałe. W długim okresie likwidacja prywatnych funduszy nie będzie mieć znaczenia przy ocenie spadku długu i deficytu budżetowego. Wiem, że są też inne projekty, m.in. cięć subwencji dla partii politycznych, ograniczenia przyznawanych partiom politycznym pieniędzy, zamrożenia przez rząd pensji posłów czy ewentualnie ograniczenie stałych wydatków budżetowych, przede wszystkim związane z dopłatami do systemu ubezpieczeń społecznych, do ZUS, do KRUS, który wpłaca do budżetu 1,4 mld złotych, a otrzymuje dotację w wysokości 14,3 mld złotych. Poza tym jest też projekt pana premiera Tuska wprowadzenia obligacji emerytalnych mających poprawić prognozy dotyczące wysokości świadczeń otrzymywanych przez przyszłych emerytów. Który z tych projektów pan profesor uważa za warty realizacji? Które mogą przynieść rzeczywiste pozytywne efekty ekonomiczne? Dziękuję.

Ewa Miłoś: Dzień dobry, Ewa Miłoś, doktorantka Wydziału Finansów. Panie profesorze, jest pan zarówno przedstawicielem polityki monetarnej, jak i – w przeszłości – fiskalnej. Dlatego mam dwa pytania. Powiedział pan, że jeżeli dług przekroczy pewien poziom, z którym nie można sobie poradzić, są dwie drogi dla państwa: ogłosić bankructwo albo poprosić kogoś o pomoc. Historia uczy, że jest też trzecia droga, która właściwie była najczęściej wykorzystywana, czyli inflacyjne finansowanie długu publicznego. Czy uważa pan, że w najbliższych miesiącach lub latach będzie to droga wykorzystywana przez państwa europejskie? Czy jeżeli Polska stanie przed takim dylematem, to będzie pan bronił celu inflacyjnego, czy jest szansa na pewne poluzowanie polityki monetarnej?

I drugie pytanie, już bardziej z zakresu polityki fiskalnej. Czy nie wydaje się panu, że państwa, wprowadzając reformy, konsolidując finanse publiczne, są w stanie dojść do poziomu, na którym rzeczywiście będą mogły generować nadwyżki w okresach wzrostu gospodarczego i deficyty w okresach recesji. Tak jak powiedział pan profesor Czekaj: my prawdopodobnie ten dług udźwigniemy, i ja sądzę, że udźwigniemy. Tylko wydaje mi się, że to nie jest to, co chciałoby dostać młodsze pokolenie w spadku. Dziękuję.

Adam Szałkowski: Panie profesorze, trudno nie zgadzać się z pańską argumentacją, krótko, zwięźle, treściwie. Wszystko dobrze, ale czy nie warto byłoby zwrócić uwagę na jeszcze jeden czynnik, który być może jest praprzyczyną tego co się dzieje na rynkach finansowych? Czy jedną z przyczyn tej sytuacji nie jest po prostu chciwość? To przecież w ekonomii behawioralnej jest ważna sprawa. Panie profesorze, korzystając z okazji, że spotykamy się *face to face*: wielu Polaków, a w gruncie rzeczy miliony Polaków, omal się przestrzennie, pośrednio z Panem kontaktuje. Przez ten słynny podatek, to „obelkowanie". Mam taką radę dla pana profesora, żeby pan zniósł ten wielki ciężar. Sugestia z mojej strony jest następująca: proszę rozważyć taką ewentualność, żeby zwolnić z tego podatku tych, którzy mają niewielkie oszczędności. Tu nie chodzi o mnie, panie profesorze, nie, nie! Ale czy nie wprowadziłby pan do tego systemu, moim zdaniem sprawiedliwego, takiej korekty dla najuboższych, co mają jakieś oszczędności? To już są sprawy proceduralne, techniczne, mechanizmy by trzeba było wprząc. I to tyle. Dziękuję bardzo.

Jerzy Hausner: Jeżeli państwo pozwolicie, to ja też chciałbym, na prawach dyskutanta, wyrazić swoją opinię; chciałbym nawiązać do dwóch zagadnień podniesionych przez pana profesora Belkę. Pierwsze z tych zagadnień, które mnie zainteresowało, to refleksja, że bardzo wiele we współczesnej gospodarce dzieje się *online* i działania polityczne, działania sfery publicznej nie mogą być dokonywane w takim tempie. Ta konstatacja, która wydaje się ważna i oczywista zarazem, musi oznaczać, że w takim razie dotychczasowy sposób działania władzy publicznej, w reakcji na kryzysy, zakłócenia, turbulencje, czyli działania o charakterze korygującym, *ex post*, tracą sens. Mają coraz mniejsze znaczenie. Prawdopodobnie przez to, że nie ma wcześniejszych działań tego typu, przez to, że gospodarka jest *online*, w końcu inne funkcje państwa muszą być teraz mocniej wyeksponowane. Ponieważ

państwo nie podejmowało odpowiednich działań regulacyjnych, konieczne jest wzmocnienie przede wszystkim tej jego roli. Wychodząc z założenia, że państwo za pomocą tradycyjnych instrumentów regulacyjnych jest w stanie coś korygować, powinno ono tworzyć reguły, określać zasady ich przestrzegania, tworzyć ramy dla gry ekonomicznej. A to oznacza, że w przypadku tego, czym się pan profesor obecnie zajmuje, czyli polityki pieniężnej, zapewne jest tak, że polityka ta powinna być uzupełniana o całkiem nowe instrumentarium, które dotyczy szerszego kontekstu niż inflacja czy pieniądz, a mianowicie stabilności systemów finansowych i reguł stabilności systemu finansowego. Pewnie też cel tej polityki powinien zostać, moim zdaniem, zredefiniowany. To jest moja reakcja na pana obserwacje, panie profesorze.

Druga rzecz jest może bardziej dyskusyjna i polemiczna. Mianowicie opisując społeczeństwa i państwa naszego regionu, powiedział pan, że państwo okazało się w naszym regionie sprawne, a społeczeństwa – tu już sam dodałem przymiotnik – rozsądne. Przywołał pan Łotwę jako szczególnie pozytywny przykład. I w obydwu przypadkach, co do sprawności państwa i co do rozsądku społeczeństwa, chciałbym postawić znak zapytania. Nie chcę powiedzieć, że na pewno pan nie ma racji, chcę postawić znak zapytania. Otóż zastanawiam się, dlaczego rzeczywiście w ciągu tych 20 lat państwa naszego regionu okazywały się sprawne w prowadzeniu polityki makroekonomicznej. Jak się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że zdecydowały o tym dwa czynniki. Pierwszy jest taki, że po części zostało to wymuszone wobec celu, jakim było wejście do Unii Europejskiej. Tworzyło ono rygory makroekonomiczne, których trzeba było po prostu przestrzegać. Gdyby się tych rygorów nie przestrzegało, oznaczałoby to niepowodzenie głównego celu w polityce zagranicznej. A po drugie, działały rynki finansowe, które karały wtedy, kiedy ta polityka przekraczała pewne ramy makroekonomiczne.

Przypominam problemy Węgier z lat 90. Akurat tak się składa, że wszyscy czterej byliśmy zaangażowani w działanie rządu i administracji rządowej. Staliśmy wobec problemu wzrostu długu i deficytu i podejmowaliśmy działania, które to częściowo powstrzymały. W każdym razie przy tamtym spowolnieniu gospodarczym nie doszliśmy do tego punktu, w którym jesteśmy w chwili obecnej. Z całą pewnością udało się powstrzymać niekontrolowany rozwój sytuacji. Ale gdy się zastanawiam, co nami kierowało, to jestem głęboko przekonany, że tym, co wymuszało działanie na politykach w grze partyjnej, była perspektywa wejścia do Unii Europejskiej. Takie ramy zostały narzucone. Po prostu trzeba to było zrobić, bo inaczej przegrałoby się wszystko. Nie z własnym elektoratem, ale w szerszym, strategicznym kontekście. I oceniając z tego punktu widzenia, to nie ma dzisiaj takiego momentu wymuszającego w tej skali, bo cała Unia Europejska ma problemy i rządy krajów Unii Europejskiej mają problemy, i nawet jeżeli retoryka Komisji Europejskiej jest podobna, to działania nie są podobne. W dodatku mam wrażenie, że w Polsce sami sobie utrudniliśmy sytuację. Jestem gotów z panią profesor Sierpińską dyskutować, czy warto być w strefie euro, ale moim zdaniem jeżeli zdjęliśmy z agendy publicznej wejście do strefy euro, to naszego piekła już nie ma. Bo nie ma tego punktu odniesienia. Zaczęto więcej próbować, więcej było wolno, kiedy zniknęła perspektywa wejścia do strefy euro. Inną sprawą jest, kiedy wejdziemy do strefy euro, ale jedno jest pewne: jeśli chcemy do niej wejść, to musimy przestrzegać pewnej dyscypliny. Nie ma tego odniesienia, nie ma tej dyscypliny, w dodatku rynki finansowe długo i cierpliwie, z powodów przez pana wyjaśnionych, tolerowały takie zachowania, których pięć lat temu by nie tolerowały. Czy więc nasze państwa są wystarczająco sprawne? To jest moje pytanie.

A co do społeczeństw – oczywiście potrafiłbym znaleźć także pozytywne przykłady, potwierdzające pana sposób myślenia. Podkreślę, że zachowania pracowników w tym kryzysie są zupełnie inne niż przy poprzednim spowolnieniu. Udało się pracodawcom porozumieć z pracownikami, żeby chronić miejsca pracy, a nie podnosić wynagrodzenia; w wielu przedsiębiorstwach nawet obniżono wynagrodzenia i odbyło się to bez presji władzy centralnej. Ale z drugiej strony, pamiętając o historycznych doświadczeniach Łotwy, Węgier i Polski – i tych z okresu komunizmu, i wcześniejszych – pytam: czy przypadkiem nie jest to przejaw czegoś innego? Czy to nie jest świadomość, cierpliwość, rozsądek i przyzwole-

nie, do których skłania właśnie doświadczenie historyczne? Z władzą i tak nigdy się nie wygrało, władzy najlepiej się podporządkować i robić swoje. Czyli przyjąć tę strategię, którą nasze społeczeństwo opracowywało przez wiele, wiele wieków – strategię przystosowania i przetrwania, zwrócenia się do małych klanów, do najbliższego otoczenia i rodziny, szukania ubezpieczenia w tej sferze, bo jest ona pewna. Ale w ślad za tym, jeżeli miałbym rację, choćby częściowo, rodzi się negatywny i bierny stosunek do państwa. A to już jest dla mnie przyczynek do dyskusji, czy w takiej sytuacji demokracja nie zaczyna być zagrożona. Rozmawiałem niedawno z Jánosem Kornaiem, naszym doktorem honorowym – to, co się stało na Węgrzech, przez niego jest oceniane nie jako rozsądek tego społeczeństwa, ale w gruncie rzeczy jako świadome poddanie się autorytarnej władzy. Po prostu zgoda na autorytaryzm. Młodzi Węgrzy uznali, że lepiej, żeby ktoś zrobił z tym porządek – bo nie da się w sposób rozsądny tego uporządkować – twardą ręką, a oni i tak sobie poradzą, bo zawsze sobie jakoś z obcą władzą radzili.

Może to jest przesadne, ale ponieważ budował pan na tym pewną obserwację ekonomiczną, więc chciałbym postawić ten znak zapytania.

Proszę państwa, myślę, że pan profesor Belka ma już dużo pytań, dużo refleksji – to bardzo poważne zadanie. Trzydzieści minut dla pana profesora.

Wypowiedź końcowa

Marek Belka: Proszę państwa, dziękuję za bardzo wiele ciekawych pytań. Będę się starał pytanie po pytaniu na nie odpowiadać.

Bazylea III. Należy podkreślić, że trzeba wzmacniać regulacje systemu finansowego. Tylko ze świadomością, że jest to ciągły wyścig między regulatorem i nadzorcą z jednej strony a innowacyjnym sektorem finansowym, który zawsze będzie się starał być pół kroku wcześniej. Jedna z ciekawszych obserwacji po tym kryzysie jest taka, że znaczna większość innowacji w sektorze finansowym powstała w celu ominięcia podatków albo dla ominięcia regulacji i nie przynosiła żadnej wartości dodanej. Nie wiem, czy to nie Paul Volcker powiedział, że dla niego jedyną wartościową innowacją, która powstała w ostatnich dekadach, są bankomaty. Bo nawet sekurytyzacja, która wydawała się dobrym rozwiązaniem, przyczyniła się do zamieszania na rynkach finansowych. Nie ma bowiem opcji „zlikwidujmy system finansowy", a bardzo odległa jest opcja „obłóżmy transakcje finansowe skutecznym podatkiem od transakcji finansowych". Celem podatku Tobina jest likwidacja części sektora finansowego. Wszystkie te hasła o konieczności zdelewarowania gospodarki, czyli obniżenia stopnia zadłużenia gospodarek (łącznie sektora publicznego, prywatnego, gospodarstw domowych), oznaczają tęsknotę za obniżeniem wagi sektora finansowego w życiu gospodarczym. Czyli likwidacji części banków i ich działalności. Wszystkie wysiłki Komitetu Bazylejskiego, Financial Stability Forum, Financial Stability Board mają na celu dotrzymanie kroku sektorowi finansowemu.

Czy Fed jest bezradny w dzisiejszym kryzysie? Co czeka gospodarkę amerykańską? Otóż Fed na pewno nie jest bezradny w takim stopniu jak banki centralne najpoważniejszych krajów świata w czasie Wielkiego Kryzysu z lat 1929–1933. Jesteśmy mądrzejsi o doświadczenia tamtej recesji, strasznych błędów popełnionych wtedy przez banki centralne. Ben Bernanke jest człowiekiem, który się na tym zna jak nikt inny, bo znaczną część swojej kariery naukowej poświęcił analizie Wielkiego Kryzysu. W istocie reakcja rządów krajów rozwiniętych na obecny kryzys jest połączeniem podejścia Keynesa i Friedmanna. Keynes, czyli stymulowanie budżetowe, wzmacnianie popytu bieżącego, i Friedmann, czyli drukowanie pieniędzy. Zdziwicie się: Friedmann i drukowanie pustych pieniędzy? Otóż tak: po pierwsze, to nie drukowanie pustych pieniędzy, ale drukowanie pieniędzy po to, by zaspokoić gwałtownie rosnący popyt na pieniądz. W największym dziele historyczno-statystycznym Miltona Friedmanna i Anny Jacobson-Schwartz *Historia pieniężna Stanów Zjednoczonych* postawiona jest taka teza: bank centralny Stanów Zjednoczonych nie dostarczał, kiedy było trzeba, odpowiedniej ilości pieniędzy, płynności, co doprowadziło do katastrofy gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Dzisiaj tę lekcję dobrze pojmują banki centralne nie tylko USA, ale całego świata, i dostarczyły w latach 2007–2009 tyle płynności,

ile było trzeba. Czy to doprowadziło do inflacji? Nie. Czy to doprowadzi do inflacji w przyszłości – to inna sprawa. W tej chwili nie doprowadziło. Dlatego, że był olbrzymi popyt na pieniądz wynikający z utraty zaufania do rynku pieniężnego. Ten popyt ze strony banków został zaspokojony. To, co czyni dzisiaj świat, to realizacja recept Keynesa i Friedmanna. Pytanie brzmi: czy prawdziwy monetarysta, taki jak Alan Melser, wybitny ekonomista z Rochester University, albo Friedmann byłby dzisiaj zadowolony z tego co robi Ben Bernanke z *quantitative easing*? Otóż byłby, ale do pewnego stopnia. Jeśli motywacją Bernankego jest niedopuszczenie do deflacji, to tak – trzeba drukować pieniądze. Ale jeżeli tą motywacją jest stymulowanie poziomu zatrudnienia, to według Friedmanna i wielu dzisiejszych ekonomistów jest to działanie skazane w dłuższym okresie na niepowodzenie. Nie można stymulować gospodarki za pomocą prasy drukarskiej. Można za jej pomocą nie dopuścić do deflacji, katastrofy gospodarczej. Dlaczego katastrofy? Bo deflacja oznacza, że ciężar długu rośnie i przytłoczy wszystkich. Bo dług jest wyrażony jest w absolutnych wartościach. A ceny spadają, więc relatywnie ciężar długu staje się coraz większy.

Zasadniczym dylematem gospodarki Stanów Zjednoczonych (to też dylemat gospodarki światowej) jest to, w jakim tempie powinno w Stanach Zjednoczonych następować niwelowanie podstawowej nierównowagi, która drąży tę gospodarkę, czyli niedoboru oszczędności. Wszyscy mówią: „Amerykanie muszą więcej oszczędzać, a mniej się zadłużać, byle nie za szybko! Nie za szybko, bo świat zahamuje. Chińczycy nie będą mieli komu sprzedawać towarów, a Niemcy nie będą mogli sprzedawać Chińczykom maszyn do produkcji". I to jest problem gospodarki amerykańskiej, ale także Bena Bernanke, którego mandat jest inny niż w Europie, dualny: obrona stabilności poziomu cen oraz stymulowanie wzrostu gospodarczego. To jest dla nas Europejczyków nie do pogodzenia. Gospodarka amerykańska i jej bankier centralny zawsze ma dylemat: jak pogodzić te dwie sprawy, jak na tej krawędzi się poruszać?

Czy Fed jest dzisiaj bezradny? W tym sensie, że już dalej nie może obniżać stopy procentowej? Czy za pomocą drukowania pieniędzy może stymulować gospodarkę? Nie wiem. Wiem jedno: ten kryzys wyeksponował pewną słabość gospodarki amerykańskiej, o której się nie mówiło. To jest znakomity system, który funkcjonuje, kiedy gospodarka nie przeżywa długotrwałego bezrobocia. Tam jest łatwo zwolnić z pracy, ale łatwo też do pracy przyjąć, a ludzie mają skłonność do przenoszenia się za pracą z jednego końca Stanów Zjednoczonych na drugi. Wszystko gra, dopóki jest dokąd się przenieść. Jeżeli nie ma szans uzyskania pracy ani w Massachusetts, ani w Montanie, ani w Kalifornii, to pojawia się problem. Problem społeczny, którego Amerykanie się boją i dlatego z taką determinacją i pragmatyzmem, gwałcąc wszystkie dotychczasowe zasady tzw. dobrej polityki gospodarczej, stymulują gospodarkę za wszelką cenę. Boją się długotrwałego bezrobocia bardziej niż Europejczycy.

Czy teza o niewidzialnej ręce powinna być w sposób radykalny zrewidowana? Przez trzy minuty spróbuję opowiedzieć historię teorii ekonomicznej. Adam Smith odkrył to, co nie było jasne dla jego poprzedników, że działalność we własnym interesie może być także dobra dla interesu ogólnego. Na tym polega niewidzialna ręka rynku: piekarzowi nie zależy, żeby ludzie byli najedzeni i mieli smaczny chleb. Zależy mu, żeby zarobić. To rynek sprawia, że piekarz chce, aby chleb był dobrze wypieczony, smaczny, bo inaczej ludzie nie przyjdą do niego, tylko do konkurenta. Keynes powiedział jednak, że nie zawsze mikroracjonalność tego piekarza będzie przynosić skutki makroracjonalne. Bo przecież w okresie kryzysu wszyscy mówią „trzeba oszczędzać", prawda? Co jest katastrofą z punktu widzenia makroekonomicznego? Oszczędzanie podczas kryzysu oznacza dla gospodarki jeszcze większy kryzys. W czasie kryzysu trzeba wydawać! Tylko że my, czyli gospodarstwa domowe, wiemy, że podczas kryzysu grozi nam bezrobocie, więc lepiej nie wydawać. I to jest problem pogodzenia mikroracjonalności z makroracjonalnością. Stąd wziął się keynesizm – konieczność wkroczenia państwa i rozwiązania tego dylematu. Gdzie jesteśmy dzisiaj? Otóż dzisiaj podważeniu podlega sama koncepcja racjonalności działania człowieka. I tutaj chciałbym powiedzieć dwie rzeczy. Czy człowiek jest racjonalny? Jak zapytacie psychologa, to odpowie: „Ależ skąd! Ludzie z zasady działają nieracjonalnie". Dzisiaj modne jest

prowadzenie pewnych eksperymentów psychologicznych, które wskazują, że ludzie są spontaniczni, reaktywni, nie kalkulują na zimno. Tak mówią psychologowie czy psychiatrzy: nie jesteśmy racjonalni. Jako ekonomista wątpię – ja jednak wolę kupić towar tańszy niż droższy, wolę kupić towar lepszy niż gorszy. Problem w tym, że popełniamy straszny błąd w myśleniu o ekonomii, który polega na tym, że przyjmujemy założenie, że możemy dodawać preferencje ludzi. Mówiąc krótko: ja jestem racjonalny, Jurek jest racjonalny, Mirek jest racjonalny, ale czy wszyscy razem jesteśmy racjonalni? I teraz jeżeli wszyscy jesteśmy racjonalni, to kusi nas, aby w modelach, które mają odzwierciedlać działanie gospodarki przyjmować zasadę reprezentatywnego podmiotu. To nie jest prawda, bo między nami mogą się pojawić różnice w motywacjach i interesach i zaczynamy działać np. strategicznie (tzw. dylemat więźnia), czyli zachowujemy się nie zgodnie ze swoimi przekonaniami, tylko kalkulujemy, jak będzie się zachowywał nasz kolega albo nasz konkurent. Wreszcie są też zachowania stadne, które najwyraźniej uwidoczniły się tuż przed kryzysem. Dopóki grała muzyka, trzeba było tańczyć. Pierwszy, który wycofałby się np. z rynku *subprime* w USA, poniósłby straty. Należało czekać na katastrofę. I modlić się, żeby w ucieczce być pierwszym. Jeśli owce idą w jednym kierunku, a jest tam przepaść i któraś chciałaby się cofnąć, zostanie stratowana. Nie jest tak prosto z racjonalnością. To nie znaczy, że ekonomia przestanie istnieć, że my odejdziemy od pewnych paradygmatów, ale te paradygmaty muszą być istotnie zmienione.

Jeżeli chodzi o mafię w południowych Włoszech, to nie specjalizuję się w tym temacie, natomiast mam taką uwagę. Oczywiście, że o tempie rozwoju gospodarczego w świecie, ale także w Unii Europejskiej, decyduje także jakość państwa. Jeżeli państwo jest silne, tak jak np. Estonia, to nawet w kryzysie może doprowadzić do zakończenia procesu euroizacji. A jeśli państwo jest słabe, jak przez 30 lat Grecja, to dzieje się to, co się stało. I tu nie chodzi tak naprawdę o mafię. Tu chodzi o siłę państwa, szacunek dla niego, o coś niedotykalnego, co się do dyskursu ekonomicznego wprowadza od niedawna. W Polsce robi to profesor Janusz Czapiński, mówiąc o kapitale społecznym, o zdolności współdziałania ludzi, jako o jednym z czynników wzrostu gospodarczego. U nas kapitał społeczny, czyli zdolność ludzi, także obcych, do współdziałania, jest słaby. To też mówił profesor Hausner, że w Polsce zamiast wspólnego działania mamy negatywny stosunek do władzy, do państwa. Mamy doskonałe, fantastyczne umiejętności samoorganizacji w sytuacjach kryzysowych, ale nie w sytuacjach normalnych. I mamy zaufanie do swoich przyjaciół, do swojej rodziny, ale nie do człowieka, który przechodzi przez jezdnię. W Stanach Zjednoczonych społeczeństwo obywatelskie jest pulsujące. Jeśli się ktoś z was przeprowadzi do Stanów, do nowej dzielnicy, to w ciągu tygodnia przyjdzie kilkoro sąsiadów, pytając o to, co jest potrzebne. Jak żona będzie w ciąży, to się zgłosi kilka kobiet z sąsiedztwa, proponując cały zestaw przyrządów po swoich dzieciach i radząc, gdzie jest najbliższy lekarz. Jak się w Szwajcarii płaci podatek od zysków z kapitału, to po prostu się go płaci, a w Polsce tworzy się lokaty, które mają ten podatek ominąć. W tejże Szwajcarii, gdyby komuś przyszło do głowy, żeby wprowadzić lokaty, których jedynym celem jest ominięcie tego podatku, to zostałaby zaaresztowany.

Wzmocnienie złotego jest dobre z punktu widzenia presji inflacyjnej, niedobre zaś z punktu widzenia stymulowania eksportu, stymulowania gospodarki. I to jest pewien problem wyważenia tempa aprecjacji złotego. Złoty jest skazany na aprecjację długofalowo, bo my doganiamy Zachód. U nas tempo wzrostu wydajności pracy jest wyższe niż na Zachodzie i w związku z tym to, co nazywamy często kursem równowagi, także jest coraz wyższe. Złoty dzisiaj fluktuuje. Myśleliśmy, że kiedy Polska wejdzie do Unii Europejskiej, to ten trend aprecjacji nominalnej będzie się nasilał. I zostaliśmy zaskoczeni. Dzisiaj kurs waluty polskiej w stosunku do euro jest prawie dokładnie taki sam, jak 1 maja 2004 r. Ryzyko kursowe w związku z tym jest w Polsce uważane za wysokie. Ale złoty się nie wzmocnił. W ciągu ostatnich sześciu lat złoty się osłabił. I być może jest to jedna z przyczyn tego, że Polska rozwija się całkiem szybko.

Proszę państwa, w tej chwili dyskusja na temat euro jest dyskusją teoretyczną. Musimy najpierw spełnić kryteria, ale powiedzmy sobie szczerze – to euro niech spełni nasze kryteria, zwłaszcza

stabilności. Niech strefa rozwiąże swoje własne problemy. Ja bym się nie spieszył.

Krajowy nadzór bankowy. Oczywiście to niedostatek regulacji, ale przede wszystkim egzekwowania regulacji, czyli nadzoru bankowego, jest na pewno jedną z przyczyn kryzysu. Ale są pozytywne przykłady. W Kanadzie nadzór bankowy był twardy. Porównajcie dzisiaj Kanadę z USA. Kanada praktycznie nie została nawet dotknięta przez kryzys. Hiszpania byłaby dzisiaj w o wiele gorszej sytuacji, gdyby bank centralny w Hiszpanii, który jest jednocześnie nadzorcą, przez ostatnie lata nie nakazywał bankom tworzenia dodatkowych buforów ostrożnościowych i kapitałowych. Dzisiaj w związku z tym gospodarka hiszpańska może mieć trudności, ale Santander czy Banco de Vizcaya jest w dobrej sytuacji. Czy w Polsce nadzór jest wyjątkowo dobry czy wyjątkowo słaby? Jest zupełnie niezły. Kiedy Bank Światowy czy MFW wskazuje kraje, które dobrze działały w tym zakresie, to Polska także jest tam wymieniana.

Kryzys euro: czy będzie zbawienny? Każdy kryzys jest zbawienny, jeśli wyciąga się z niego właściwe wnioski. Jeżeli się okaże, że w wyniku tego kryzysu w strefie euro kraje uporządkują swoje finanse i zostanie stworzona infrastruktura instytucjonalna, która wzmocni gospodarkę europejską – to tak.

Ulgi podatkowe w Polsce. Tak naprawdę to jest przyczyna dziury budżetowej. Ostatnio gazety opisały te ulgi. Największą ulgą jest ulga w podatku VAT związana z budownictwem i materiałami budowlanymi, i to jest regulacja prawna nie nasza, tylko Komisji Europejskiej. Wywalczyliśmy, że opodatkowujemy działalność budowlaną na 7%, a nie na 22%. I to jest największa ulga. Proszę bardzo, kto jest za tym, żeby zlikwidować tę ulgę? Za cztery osoby, kilka przeciw. Oczywiście, że każda z ulg ma swoich obrońców, i oczywiście, że zawsze znajdą się argumenty, nie tylko polityczne, ale także i społeczne, gospodarcze, żeby jej bronić. To są wszystko decyzje polityczne. Bez trudnych wyborów politycznych tego się nie załatwi.

Polska przedsiębiorczość. Polska przedsiębiorczość jest jednym z cudów świata. To jeden z powodów, dla których przeszliśmy ten kryzys prawie suchą nogą. Dlaczego? Dlatego, że – w odróżnieniu od np. Czech – w 45% nasz eksport to jest eksport naszych rodzimych przedsiębiorstw, które sprzedają do Europy Zachodniej towary finalne. A w Czechach to jest praktycznie zero, jeżeli nie liczyć usług turystycznych. Krajowi eksporterzy, korzystając z osłabienia złotego, nie tylko utrzymali rynki na Zachodzie podczas kryzysu, ale je zwiększają. To jest polska przedsiębiorczość. Nie jest prawdą stwierdzenie, że gdyby w Polsce było trudno prowadzić działalność gospodarczą, to by ta przedsiębiorczość się nie rozwinęła. Wystarczy na oko porównać Polskę ze wszystkimi jej sąsiadami. W Polsce mamy bardzo agresywny sposób wspierania biznesu za pomocą podatków. Każdy z was, jeśli się sprytnie zdeklaruje, że jest przedsiębiorcą, to nie będzie płacił PIT-u, tylko CIT, i będzie płacił ZUS w wysokości na ogół znacznie niższej niż ludzie, których będziecie zatrudniać. To są wielkie ulgi podatkowe, to są agresywne sposoby wspierania przedsiębiorczości.

Czy rzeczywiście mamy w Polsce dobry albo zły klimat dla przedsiębiorczości? Na pewno nie jest dobrze, a jeżeli zapytacie Polaków, to zawsze powiedzą, że jest źle. Ale już to, co ostatnio przeczytałem w jakimś rankingu, że w Polsce trzeba czekać przeciętnie na doprowadzenie mediów do 150 dni, czyli 5 miesięcy, a w Namibii czterdzieści parę dni, wygląda mi na kompromitację tych, co te dane kompilowali. Co jest niewątpliwie słabością Polski w kontekście przedsiębiorstw, to system prawny. Ale kiedy ktoś mi mówi, że w Polsce jest trudniej prowadzić biznes niż w Namibii, to znaczy, że nie wie, o czym mówi.

Czy w Polsce jest miejsce na hi-tech? Należy zwrócić uwagę, że w Polsce problem niedofinansowania nauki nie polega tylko na tym, że nie ma środków budżetowych. Powodem jest nikłe zainteresowanie ze strony przedsiębiorców, firm tego rodzaju pomocą. Być może nasze przedsiębiorstwa są na takim etapie, na którym za wcześnie jest na masowy hi-tech.

Czy inflacja może być sposobem na redukcję długu? Nie w Polsce, dopóki jest taki prezes NBP i Rada Polityki Pieniężnej.

Czy Niemcy są zainteresowane obniżeniem wartości euro? Proszę państwa, ich eksport jest mniej wrażliwy na wahania kursu euro niż eksport włoski czy krajów południowych, czy francuski. Niemcy eksportują jakość, a nie

niski koszt. W ogóle Europa eksportuje jakość, ale jakość niemiecka jest jeszcze wyższa, bo to są produkty inwestycyjne, które mają charakter niestandardowy, gdzie marże są wyjątkowo wysokie. Niemcy są niezbyt zainteresowani – a przynajmniej tak mówią – obniżką kursu euro. Rzeczywiście, gdyby euro upadło, a Niemcy wróciliby do marki, to umocniłaby się ona radykalnie. I to ugodziłoby w konkurencyjność gospodarki niemieckiej.

Podatek Belki. Mówiłem już o stosunku Polaków do państwa. Gdyby w Polsce zwolnić z tego podatku najuboższych – przecież nie mają oni żadnych oszczędności. A poza tym jest to podatek płacony w każdym cywilizowanym kraju świata. Dlaczego mielibyśmy płacić podatek od dochodu, który wypracowujemy jako przedsiębiorca, a więc obarczonego ryzykiem, a nie płacić podatku rentierskiego od dochodu, który nie jest obarczony żadnym ryzykiem?

Rzeczywiście polityka stabilności finansowej to nowa sfera działania banków centralnych. Dotychczas banki były odpowiedzialne za stabilność cen bądź tak jak w Stanach Zjednoczonych za wspieranie wzrostu gospodarczego, utrzymanie odpowiedniego poziomu zatrudnienia. Ale dochodzi trzecia rzecz – stabilność finansowa, czyli stabilność systemu bankowego. Okazuje się, że za pomocą stóp procentowych niewiele można zrobić, można natomiast zrobić wiele za pomocą działań nadzorczych i regulacyjnych; te w Polsce są poza NBP.

Zgadzam z profesorem Hausnerem, że z tym rozsądkiem społeczeństw i siłą państwa to nie jest tak oczywiste. Siła państw transformujących się wynikała z jasno postawionego celu cywilizacyjnego – integracji z Unią Europejską. Aby państwo dobrze funkcjonowało, trzeba mieć bardzo dobrą, kompetentną służbę cywilną. Tam, gdzie jest kompetentna służba cywilna – jak w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii – minister może się zmieniać. Normalna partyjna demokracja wcale nie umacnia państwa. W Łotwie był nie tylko rozsądek, ale także pamięć historyczna. Jak Łotyszy zapytać, co oni sądzą o kryzysie, to powiedzą: „Proszę państwa, kryzys to śmy mieli za czasów ZSRR, gdy nas wywozili na Syberię, teraz mamy trudności". Ważna jest więc pamięć historyczna. Jaką pamięć historyczną mają Grecy?